Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem.

ŁOWIEC POLSKI



W puszczy. Fot. Jan Bończa Markowski.

ORGAN POLSKIEGO ZWIĄZKU STOWARZYSZEŃ ŁOWIECKICH

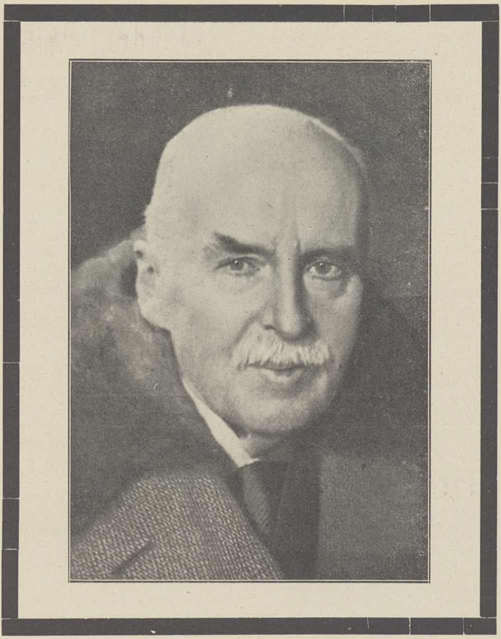
WYCHODZI CO TYDZIEŃ

Nr. 29 (684) 16 LIPCA 1932 R.

OD ADMINISTRACJI.

Pozwalamy sobie przypomnieć, że czas już odnowić prenumeratę na II półrocze lub III kwartał.

Zawiadamiamy jednocześnie, że numery reklamowane (z powodu nieotrzymania) wysyłać będziemy przy ekspedycji najbliższego numeru po otrzymaniu reklamacji.



Ś. P. JÓZEF WEYSSENHOFF

(1860 — 1932).

Ś. p. Józef bar. Weyssenhoff urodził się w r. 1860 w Kolanie, rodzinnym majątku Weyssenhoffów na Podlasiu.

Zasłużony ród, wywodzący się z Inflant polskich, zdawna osiadły w Polsce i po polsku czujący, dał ojczyźnie naszej wielu mężów czynu, chlubnie zapisanych w historji.

Ś. p. Józef kształcił się w czwartem gimnazjum warszawskiem, po którego ukończeniu w r. 1879 — studjował prawo w Dorpacie do r. 1884, poczem wrócił do kraju.

W latach 1891—1896 był współredaktorem „Bibljoteki warszawskiej". Niepospolitą swą działalność literacką rozpoczął ś. p. Józef Weyssenhoff od przekładów Heinego (1888), cyklu poezyj „Lyrica" (1894), studjów krytycznych i nowel: „Zaręczyny Jana Bełskiego" i „Za błękitami". W cztery lata później powstaje arcydzieło „Żywot i myśli Zygmunta Podfilipskiego" (1898), które odrazu osiągnęło niebywałe powodzenie i postawiło autora w rzędzie najcelniejszych pisarzy polskich.

Po kilku latach przerwy następuje niemal rok po roku długi szereg powieści współczesnych, rozpoczęty „Sprawą Dołęgi", a dalej „Syn marnotrawny", „Dni polityczne", „Unja", „Hetmani", wszystkie te dzieła pisane ze świadomością celu, nie pozbawione finezyjnej ironji, cieszące się wielką poczytnością.

Jeśli ostrze satyry nie wystąpiło w dziełach ś. p. Weyssenhoffa z całą siłą — to przyczyną tego było umiłowanie przyrody i myślistwa, umiłowanie, które zagłuszało myśli polityczne, nakazując autorowi najpiękniejsze słowa, całe bogactwo czucia i wyobraźni — zwrócić w kierunku stworzenia tych przecudnych, czarownych obrazów, które szczególniej drogie są sercu i duszy myśliwego.

Właśnie w cyklu myśliwskim, w „Sobolu i pannie" (1911) i w „Puszczy" (1911) objawił się wielki talent poetycki Weyssenhoffa.

W obcowaniu z przyrodą i na jej tle — z urokiem i czarem niewysłowionym, jaki roztaczają łowy — rosło serce znakomitego pisarza, rodząc pieśń puszczy wspaniałą; w natchnieniu płynęły słowa piękne i tak głęboko wnikające w duszę czytelnika-myśliwego.

Mistrzowskiej prozie Weyssenhoffa zawdzięczamy wolną od sztucznych upojeń i przesady, prawdziwą poezję natury i łowów.

Następne lata przynoszą w twórczości Weyssenhoffa tom nowel „Znaj pana" (1912), powieść „Gromada" (1913), studjum kry-

tyczne „O laurach Wyspiańskiego", które przyjęte zostało z wielką wrzawą i wywołało długą i gorącą polemikę w prasie.

Po wojnie publikuje Weyssenhoff „Cudno i ziemię cudeńską" (1921), „Noc i świt" (1924), „Pamiętnik literacki" 1926) i „Jana bez ziemi" (1929).

Z ostatnich prac wymienić trzeba rozprawę „O sztuce pisarskiej Pawła Cazin" (1928) i przekład utworów Cazin'a.

Ostatnią powieścią znakomitego pisarza była „Ulica".

Prócz wymienionych prac ważniejszych, twórczość Weyssenhoffa obejmuje szereg dzieł i rozpraw, mniej znanych.

Wszystko, co pozostawił w puściźnie — tchnie życiem i prawdą.

Bogactwo myśli i uczucia zaklęte zostało w czysty, piękny język i niepospolitą formę.

* * *

Przed dwoma niespełna miesiącami cały polski świat łowiecki pochylił czoło w hołdzie dla znakomitego pisarza, w dzień czterdziestoletniego jubileuszu twórczej Jego pracy — niosąc Mu w ofierze najwyższe odznaczenie łowieckie, „Złom", w podzięce za piękno słowa, jakiem wypowiadać umiał umiłowanie ojczystej przyrody i łowów, słowa, jakiem rozpalić potrafił najmniej wrażliwe umysły, jakiem tchnął w serca, jak lód, zimne — iskierkę miłości...

Na jubileuszowym obchodzie, w pełnej po brzegi sali teatru Wielkiego, w stolicy całej, w całej Polsce, jak długa i szeroka, jednako biły dlań serca: uwielbieniem i szczerem życzeniem długiego żywota w zasłużonym pokoju i dobrobycie.

Nieubłagane jest przeznaczenie. Śmierci powstrzymać w biegu jej szalonym i tak zawsze okrutnym — nic na świecie nie zdoła.

Wbrew wszelkim nadziejom, że niemoc, jakiej Weyssenhoff uległ tak niedawno, rychło przeminie— a po niej nastaną dlań jeszcze długie dni zdrowia — wielki duch porzucił ziemską, choć znakomitą — powłokę i powędrował w zaświaty.

Weyssenhoff skonał... Tak smutna wieść obiegła w dniu 6 b. m. Polskę całą, okrywając kirem żałoby nie tylko świat literacki, ale i nadewszystko przyrodę polską, która w dziełach Jego żyjąc, zaklęta w przecudną formę i najczystszy, nieskalany język, oddziaływała nie tylko na początkujących myśliwych, wielbicieli natury, ale i na łowców wytrawnych, przez dziesiątki lat ostrzelanych.

Młode pokolenie myśliwych nie na czem innem, jak właśnie na obrazach literackich Weyssenhoffa — budowało gmach marzeń łowieckich. Dość wspomnieć tylko pieśń puszczy, w której akordy przyrodniczo-łowieckie grzmią z siłą wzruszeń, nie mniejszą, niźli w rzeczywistości.

Za ogrom tych wzruszeń, za tak piękne uplastycznienie czarów przyrody i łowów w mistrzowskiem słowie, które bez szczerego ukochania powstaćby nie mogło, za prawdę cudu natury, która w całej swej czystej i jasnej krasie objawiła się Jemu, jako po Mickiewiczu — jednemu z niewielu wybranych, a dopiero przez wcielenie się w Jego duszę niepospolitą — przybrała istotną postać w Jego słowach i dzięki słowom tym, jak żywa — objawia się wszystkim, którzy je czytają i odczuwają, za Jego żywe przewodnictwo w poznawaniu piękna natury, a na jej tle czaru i uroku łowów — wdzięczność swą świat myśliwych Weyssenhoffowi winien.

Składając Mu dwa miesiące temu hołd i cześć głęboką, czyż łowiectwo polskie mogło się spodziewać, że tak rychło przyjdzie pochylić czoło w hołdzie ostatnim?

Wiemy wszyscy: ból i żal, choć szczere są — przeminą, „wszystko w was ucichnie, przeminie — ostatnia przetrwa moja gra łowiecka..." Intencją słów Weyssenhoffa, które wypowiedział przy końcu nieśmiertelnego „Sobola i panny" nie była pewność laurów sławy. Tu jednak słowa te przytaczamy z niezachwianą wiarą, że imię Józefa Weyssenhoffa na tle potęgi Jego twórczości, a przedewszystkiem na tle Jego „gry łowieckiej" nie przeminie, a przetrwa na wieki, nie tylko na kartach historji pięknej literatury polskiej, ale i w polskich sercach myśliwskich.

WSPOMNIENIA Z TOKÓW GŁUSZCOWYCH W ORDYNACJI DAWIDGRÓDECKIEJ.

(Dokończenie).

Na każdym kroku widać, iż wszystko przez gospodarza obmyślane i uplanowane zostało ku wygodzie myśliwych: rozmieszczenie, kierunek kładek i boczne rozgałęzienia ułatwiają możność podsłuchów ze wszytkich stron i potem zbliżenie się do zasadzonego głuszca; samo tylko podejście grającego wymaga opuszczenia kładki i wejścia na grząski mech.

Przy każdem tokowisku znajdują się wygodne, bo duże budany, a w nich przygotowane siano, obok — stosy kloców drzewa, zawczasu nagromadzone, z których czerpie się w miarę spalania nowe kłody, dokładając do ogniska, podtrzymywanego przed budanem, bez przerwy.

Rozmieszczenie łódek, furmanek, przydzielenie gajowych, — tem wszystkiem sprawnie kierują pp. nadleśniczowie, zkolei leśniczym przekazując opiekę nad myśliwym, który wkońcu zostaje oddany wyrobionemu gajowemu.

Ale książę gospodarz wszystko to obmyślił i zadysponował z dokładnością. Objaśnia on myśliwego: jaką drogą dostanie się do tokowiska, którędy łódką, którędy przez kładki, jak są one rozmieszczone, jaki budan zastanie, jaką wodę znajdzie do użycia, rodzaj terenu, charakter, zdolności myśliwskie, zalety i wady każdego z poszczególnych gajowych.

Gospodarz zna każdy zakątek swoich olbrzymich kniei. Zauważyłem już to i na polowaniu zimowem. Po otrzymanych meldunkach z otropienia, wie już, w jakim odstępie, przy danych warunkach, którędy, jaki zwierz wyjdzie; odpowiednio więc planuje i dysponuje o rozstawieniu myśliwych i o pędzeniu.

To uczucie, że jest się na polowaniu u myśliwego i hodowcy tej klasy — podnosi urok i dodatnio wpływa na nastrój łowiecki.

Przy ognisku często słuchałem, jak gajowi wspominali epizody z rozmaitych polowań. Z tego wnoszę, iż starają się, aby meldunki z otropienia, czy podsłuchów — były zgodne z wynikami polowania.

Wytykali przytem błędy kolegów swoich, którzy po niedokładnem wykonaniu polecenia, myśleli, że uda się blaga.

„Ale kniaź się na tem tak zna, że tu niema szutok (żartów)".

Boją się więc, aby nie zasłużyć na opinję fuszera, lub wogóle na naganę.

Miło jest słyszeć, że przy tym lęku, cenią, szanują i lubią swojego „kniazia".

Rozmyślając nad temi i innemi spostrzeżeniami, wypoczywam, wygodnie umieszczony na łodzi, gładko płynącej po Myszance.

Pogoda w dalszym ciągu śliczna i droga tem piękniejszą się wydaje.

Wśród kęp łozy, na słońcu wygrzewają się żółwie; przy zbliżeniu łódki, jak kule — staczają się z pluskiem do wody; odważniejsze tylko, czy głupsze, nieruchomo z wyciągniętemi szyjami przeczekują nasz przejazd.

Nareszcie skręcamy z rzeki na zalaną łąkę; woda miejscami opadła tak, iż zamało jej, aby obciążoną łodką dopłynąć „na pych" do twardego lądu, a zadużo jeszcze, aby wysiadać z rzeczami.

Stopniowo więc wioślarze wychodzą i łódź, pchana przez brodzącego po wodzie, dociera bliżej brzegu.

Tak po kolei, na coraz płytszych miejscach, wychodzą trzej moi wioślarze, pragnący mnie dowieźć możliwie najdalej. Wkońcu i ja wychodzę z łódki, którą dopychają do brzegu i umieszczają w gęstej łozie.

Półtora kilometra piechotą przebywamy do nowego budanu.

Gruby, sosnowy las, sucho położony, obok zagajnik, przed budanem potężne sosny na otwartej przestrzeni; słonecznie, powietrze cudowne. Zimny sok z nadciętej brzozy znakomicie zaspokoił pragnienie.

Rozpakowujemy się na nowem miejscu, podobnie jak poprzednio rozmieszczając rzeczy: jedne na kołeczkach, wbitych w ścianę, inne na pieńkach lub półkach. Ognisko już rozniecono; już można przygotować posiłek.

Jak smakuje jajecznica, przysmażona na wieprzowym boczku, ten wie dobrze, kto poluje i obozuje w lesie; a wiadomo również, że fruwające przy ognisku, grube płatki sadzy nie psują jej smaku i nie ujmują apetytu.

Przygotowany stos puszystego siana zachęca do wypoczynku.

Pogoda obiecująca, wesoło trzaska ogień.

Po drzemce, resztę pozostałego czasu do zapadów skracam sobie odczytywaniem na ścianach wypisanych notatek myśliwych z datami i ilością ubitej przez nich zwierzyny w latach poprzednich.

Pocieszam się, że pobyt mój odpowiada dość pomyślnym wynikom poprzednich sezonów.

Jeszcze trochę rozmówki i narady z gajowymi i dość wcześnie wybieram się na zapady.

Dwaj gajowi rozchodzą się na podsłuchy w różne strony, trzeci odprowadza mnie na uplanowane miejsce.

Stajemy przed klocem drzewa, gdzie mam zasiąść. Gajowy wskazuje mi kierunek, w którym należy oczekiwać zapadu.

Jeszcze nie oddalił się, tłumacząc mi coś szeptem, kiedy nagle za sobą usłyszeliśmy hałas z pluskiem błota wydobywanych nóg z siłą ruchów konia.

Widzę, jak między zaroślami ciągnie się ciemna plama dużych rozmiarów, potężniejsza i głębsza w przedniej partji. Pod tą sywetką zwierza, skaczą jasne badyle, migające nad bagnem.

Cicho przyglądamy się rzadkiemu i emocjonującemu obrazkowi.

Wzajemne objaśnienia — co mamy przed sobą stały się zbyteczne.



Po udanym podchodzie. Fot. K. Komierowski.

Łoś wydostał się z błota na suchy grunt i rozległo się dudnienie w tempie contra konia. Przypominam sobie, że wśród innych objaśnień, byłem uprzedzony przez gospodarza, że tu właśnie powinieniem spotkać się z łosiem.

Widziałem go przed chwilą i myśl, że znajduję się w uroczysku łosiowych ostoi — robi na mnie wrażenie tak silne, że narazie zapominam, po co się tu znalazłem, a urok głuszcowych wrażeń maleje.

Rozmyślania przerwał mi hałas zapadającego głuszca. Sądząc z łoskotu skrzydeł, zasiadł pewnie i niedaleko.

Głuszec, jako objekt w tym momencie aktualniejszy, powrotnie myśl moją opanował. Gdzieś dalej, w lewo, słychać kwiczące głosy niezgodnie zachowujących się dzików; na prawo dźwięcznemi tonami odzywają się żórawie. Cietrzewie słychać w paru miejscach, jakby wprawiały się przed porannym koncertem.

W górze bekas po swojemu głosi, że przyłącza się do godów, jakie z wiosną nadeszły.

Słonka przeciągnęła blisko, równo, chrapiąc i pogwizdując wzorowo. Kiedyindziej życzyłbym sobie takiego spotkania, teraz przysłuchałem się tylko tak blisko i wyraźnie wydawanym dźwiękom.

Głuszec mój przesiadł się raz jeszcze, głośno łopocąc skrzydłami, na pobliskie, widocznie wygodniejsze miejsce; odezwał się dwukrotnem klapnięciem i ucichł, zasypiając z zamiarami na jutrzejszy ranek.

Zamiary miał dobre, bo, jak się przekonałem, nazajutrz grał wybornie.

Podszedłem go blisko, lecz zanim zobaczyłem, gdzie siedzi, przesiadł się i grał dalej. Tak po każdej serji kilku pieśni przesiadał się pięć razy. Zawsze pozostawał w promieniu strzału i grał w dalszym ciągu.

Kiedy już widzę go i czekam, jak zagra, aby broń unieść do strzału, znowu robi „pieresadkę", tym razem dalej nieco; a że grał bez przerwy, więc i teraz podchodzę blisko.

Wcześniej jednak, niż potrzeba było dla mnie, zleciał, ale tym razem na ziemię, zwabiony kwoktaniem kur; grać przestał i ocalał tego ranka.

Schodząc z tokowiska, trąciłem nogą coś, co różniło się od gałęzi, czy sęka o tyle, że zwróciłem baczniejszą uwagę i podniosłem piękną łopatę łosia. Zrzut zdobny w pięć bardzo silnych i długich wyrostków.

Depcę miejsca, po których chodzą sobie łosie; widocznie stale tu przebywają, gdyż licznie leżą pozostawione foremne kulki strawionego pokarmu; tropy na błocie i piasku miejsc wzgórzystych oraz wydeptane place, jeszcze z czasów jesiennej rui, wskazują, iż łosi tu dużo, mają zapewniony spokój i dzieje im się dobrze.

Powrót mój do budanu bez głuszca, wynagradzałem sobie rozmową z gajowymi o łosiach, które znowu umysł mój zaprzątnęły.

Wywnioskowałem, że ochrona łosi jest tu połączona nawet z ofiarami pozbycia się nieraz dochodu z wyrębu lasu, o ile takowy wypada w miejscach ostoi łosi, aby nie mącić spokoju, tak im potrzebnego.

Następnego ranka postanowiłem pójść na tego samego głuszca. Grał również dobrze. Podszedłszy już na strzał, opieram rosochę o drzewo, gotując w rękach broń. Ale nie widzę, gdzie siedzi, a że gra dobrze, więc posuwam się jeszcze, wsłuchany w grę, tak wyraźnie dochodzącą uszu, że słyszę jakby szum piór, wywołany ruchami, wykonywanemi przez ptaka w takt wykrztuszanych głosów.

Jest blisko; upatruję wszędzie, gdyż nie orjentuję się, skąd głos ten pochodzi. Nagle spostrzegam na drzewie, pod którem stoję, z boku gęstego igliwia, na cienkiej jakiejś gałązce — chusta się głuszec, jakby pomagając sobie kiwanemi ruchami szyi do dobywania syczących sylab.

W następnej już pieśni zmierzyłem.

Jest wystarczająco jasno do strzału.

Jeszcze raz przesłuchałem kuplet od początku i, zanim skończył, po strzale zamilkł.

Gałąź jakby wyrwała się z pod głuszca i uciekła w górę, a on zwinął się bezwładnie i spadł bez życia.

Puszysty mech stłumił odgłos uderzenia ciężko spadającego głuszca, który w zielonem posłaniu pięknie ułożony pysznie wyglądał. Był to najpiękniejszy głuszec z tych, jakie w życiu zabiłem.

Duży, barwny i w „obfitej bieliźnie", na wachlarzu liczne i duże białe plamy.

Po zamilknięciu pieśni głuszca, w którą tak się jest wsłuchanym, że wtedy nic innego zmysłów nie zajmuje, teraz dopiero słyszę, jak cały las przepełniony jest przeróżnemi głosami.

Głównie cietrzewie grą swoją taki wytwarzają gwar, że pojedyńczego głosu nie słychać, tylko jeden, nieprzerwany bełkot, jakby bagno w całym lesie bulgotało, podobnie do gotującej się wody.

To był ostatni głuszec, który grał tak, że można go było podchodzić, gdyż tak tu, jak i na innych tokowiskach, więcej gry głuszca nie słyszałem.

Zwijam obóz i udaję się do nadleśnictwa, gdzie, gościnnie przyjęty, znalazłem się, po raz pierwszy od tygodnia, wśród czterech ścian, gdyż budany, w których przebywałem w lesie mają tylko po trzy ściany.

W zamieszkanym domu, widzę wiele rzeczy, od tygodnia nie oglądanych. Fotel zamiast pieńka; łóżko zamiast siana; wszystkie inne mniej, lub więcej skutecznie zastępują braki życia obozowego. Ale wszystkie one razem nie zastąpią utraconych rozkoszy myśliwskich. Widok tych rzeczy uświadamia tylko że minęły już, niestety, chwile, w których myśliwemu do szczęścia nic nie brakuje.

Tu pocieszają mnie wiadomością, iż rano głuszce grały i wieczorem zapadały dobrze.

Tłumaczę sobie, iż ostateczny koniec gry na jednem tokowisku wcześniej, na innem później może nastąpić, co zależne jest, przypuszczam, od ilościowego stosunku kur do kogutów.

Toki skończone, bo zresztą i wszystkie objawy w przyrodzie, towarzyszące zakończeniu tokowiska, wskazują na to.

Po zrezygnowaniu z głuszca, udało mi się jeszcze tego ranka na tokowisku cietrzewiem strzelić zwabionego koguta.

W powrotnej drodze zabiłem parę kaczorów z motorówki, z której, przy równym, choć szybkim pędzie, lepiej się strzela, niż z huśtającej się łódki zwykłej.

Przepływam rzekę, po której zimą jechałem sankami. Wspominam sobie ówczesne chwile. Mróz, sanna świetna. Sześcioma wyjazdowych sani, wszystkie jednakowe, przy każdej para jabłkowitych szpaków, wszystkie dobrane, orjentalnego typu z pięknym ruchem i dobremi chodami; powożą stangreci jednakowo ubrani.

To wszystko tworzy, że zaprzęgi, tak bliźniaczo do siebie podobne, zmuszają dobrze uważać, aby, siadając, trafić do tych sani, co trzeba. Po lodzie, wówczas lekko pokrytym śniegiem, mknęło się w chodliwe konie, po skończonym dniu polowania, z myślą o zapowiedzianych miotach na dzień następny.

Wtedy wilki i dziki absorbowały umysł myśliwego, a na śniegu widoczne ich tropy — podniecały wyobraźnię.

Wiosną ptaki, jak: kaczor, cietrzew, słonka, no i głuszec na czele — godnie zastępują zimowe uciechy myśliwskie.

Dla mnie zimą, czy wiosną niewypowiedziany urok mają te knieje. Nietylko z racji łatwego spotkania się z wilkiem, czy odyńcem, lub możności podchodzenia i ubicia paru głuszców jednego ranka.

Głównie wpływa na to uczucie, że jest to jedna największa z tak niewielu kniei, gdzie są łosie, gdzie jest ich coraz więcej i gdzie czują się coraz lepiej. Te właśnie łosie, o których z takim sentymentem często myślę, chętnie mówię i pisząc na łamach „Łowca Polskiego", staram się przyłączyć do głosów, nawołujących do ochrony tego, najwięcej uroku posiadającego zwierza.

Mankiewicze, do których zdążamy, widzę już dawno przed sobą.

Od chwili, kiedy myślałem, że dojeżdżamy wkrótce, długo jeszcze jechaliśmy po zalanej przestrzeni. Rezydencja umieszczona jest bodaj na najwyższym punkcie szerokiej okolicy, na wyniosłem miejscu.

Wśród zadrzewienia parku wznosi się wyniosła wieża pałacowa. W czasie powrotu z zimowych łowów, wieczorem, światło elektryczne na niej widoczne jest przeszło z dziesięciokilometrowej odległości. Wykręcamy kilkanaście razy w przeróżnych kierunkach, stosownie do wytkniętej drogi, czasami nawet jakby oddalamy się.

Wreszcie coraz bliżej. Ostatni zakręt z za jakiejś wyniosłości gruntu i nakoniec widać przystań, do której już jedziemy prosto.

Nad brzegiem — budynek w rodzaju willi.

W nim mieszczą się motory i wszelkie utensylja, potrzebne do żeglugi; przy brzegu, na wodzie — szereg łodzi, wśród których i nasza się zatrzymuje. Widok i zapach motorów, służba pałacowa, zabierająca rzeczy, przejście po gracowanych, starannie zagrabionych ulicach parku, — zetknięcie się z tem wszystkiem zrywa styczność z dotychczasowym nastrojem ostatnich przeżyć, a przenosi do życia odmiennego ,więcej prozaicznego.

Umysł ogarnia pewien smutek. Już się skończyło! Pozostają wspomnienia.

Wspomnienia te potęgują się, kiedy po wejściu do holu jestem wśród szabel odyńców i pysznych, zdobiących ściany, łopat łosich, zdobytych na miejscowych terenach.

Właśnie stamtąd wracam, tam byłem!

Oglądając trofea, jeszcze tęskne westchnienia do minionych chwil, jeszcze przeżycia myśliwskich wrażeń w rozmowie z księżną i księciem ordynatem na temat polowania.

A w nocy wyjazd do stacji kolejowej i oddalam się, żegnając dobre chwile i dobrych ludzi.

STANISŁAW LESKI.



NA DZIKI NAD SYRDARJĘ

Podczas mej wędrówki turkiestańskiej postanowiłem nie zaniedbać ani jednej sposobności polowania na jakąkolwiek zwierzynę. To też gdy podczas pobytu w Kokandzie dowiedziałem się, że nad Syrdarją, w lasach nadbrzeżnych, można z powodzeniem polować na dziki, szybko powziąłem plan zapolowania na nie. Z wynajęciem arby nie było wiele kłopotu, tak, że nazajutrz wyruszyliśmy.

W pogodny dzień styczniowy zabiera nas wielka arba na naszą pierwszą wyprawę myśliwską w Azji Środkowej. Czeka nas spory kawał drogi w trzęsącej arbie, mamy bowiem dojechać do pompy motorowej nad Syrdarją, gdzie u właściciela zanocujemy, by następnie zapolować w pobliskich lasach (tugajach). Po drodze przebywamy żyzną oazę Kokandy, nawadnianą przez Kokandarję, która w zupełności ginie wśród pól uprawnych i ogrodów, rozdzielając się w tysiączne kanaliki (aryki). Wąskie drogi obsadzone są wysokiemi, piramidalnemi topolami; niekiedy rosną te drzewa uszeregowane w kilka rzędów wokoło poletek, służąc jako ochrona dla delikatniejszych płodów przed palącemi promieniami tutejszego słońca. Topole te stanowią tu prawie jedyny materjał budowlany i opałowy.

W miarę oddalania się od miasta pola stają się coraz rzadsze, wkraczamy tu w okolicę, mało zasilaną w wodę, a gdzie wody brak tam panuje wszechwładnie step lub nawet wydmy piaszczyste.

Przestrzenie, porosłe krzaczastą roślinnością stepową, spotykamy coraz częściej na naszej drodze, która stała się wyboistą i powoduje nieznośne trzęsienie naszej arby. Zmuszeni jesteśmy położyć się na szerokim pomoście arby, na grubych, watowanych kołdrach sarckich. Mało to jednak pomaga, szybko boki mamy obolałe, tak, że droga staje się wielce nieprzyjemną. Po kilkukilometrowej jeździe wjeżdża-

my w okolicę zupełnie nieuprawną, suchą, wśród której wznoszą się spore jasno-żółte wydmy piaszczyste w kształcie półksiężyca, porosłe zrzadka niewysokiemi krzewami. Oto jesteśmy wśród wydm, droga robi się ciężką, koń nasz z trudem ciągnie arbę. Po prawej stronie drogi wznosi się wysoka wydma, nieco gęściej porosła krzakami. Na jej nagim szczycie trzy przedmioty zwracają naszą uwagę. Może to owce leżące, których tu pełno się kręci — nie! Zupełnie co innego odkrywa nam lornetka Zeissa. To trzy sępy, siedzące w skulonej pozycji. Wyskakuję momentalnie z arby, porywam Mannlichera z lunetą i biegnąc ładuję magazyn. Zboczem wydmy ciągnie się prawie pod sam jej wierzchołek pasmo krzaków, podchodzenie jest więc łatwe. Krzaki tamaryszków nie przeszkadzają podkradaniu się do upatrzonej i prawie już pewnej, w mem pojęciu, zdobyczy. Wiatr wieje od sępów, a tamaryszki dostatecznie mnie osłaniają, wszelkie więc szanse są po mojej stronie. Po przez krzaki widzę chwilami spokojnie siedzące sępy z głowami zwróconemi w kierunku na dole stojącej naszej arby. Odległość zmniejszyła się już do jakich 80 kroków, wybieram więc wygodne miejsce i pozycję do strzału. Klękam, naciskam szneller, i spokojnie mierzę przez wizjer. Już mam nacisnąć cyngiel, gdy nagle pada strzał i fontanna piasku wzbija się o jakie dwa metry poniżej ptaków, które po paru podskokach, rozłożywszy swe wielkie skrzydła wznoszą się w górę. Zrozpaczony próbuję jednego z nich wziąć na cel, luneta przeszkadza i pudłuję. Pierwszy nieszczęsny i chybiony strzał pochodził od mego towarzysza, który nie starając się nawet zbliżyć do sępów, oparłszy sztucer o wstrząsaną ruchami konia arbę, strzelił. Co potem się stało, lepiej zamilczeć, w każdym razie nie ja milczałem. Nigdy więcej podczas mego półrocznego pobytu w Turkiestanie nie miałem takiej sposobności zdobycia sępa. Tu pozwolę sobie na małą dygresję. Sępy są pospolitemi ptakami w Turkiestanie, spotkać je można po kilka lub nawet po kilkanaście sztuk razem, naturalnie bywa to przy sprzyjających okolicznościach, np. w pobliżu padliny lub w sąsiedztwie rzeźni. Pod miastem Namangan znajdowała się w pustkowiu prymitywna rzeźnia, w której bito stare konie. Tam prawie napewno było można liczyć na spotkanie się z sępami. Liczne moje bytności w tej okolicy kończyły się stale niepowodzeniem. Sępy były, były także wrony i kawki, które pierwsze spostrzegały niebezpieczeństwo i wznosiły się chmurą, a za niemi porywały się sępy, które, mniej czujne i posiadające słaby węch, w innych okolicznościach bez względu na wiatr, byleby pod osłoną krzaków lub wzniesień terenu, na pewny strzał kulowy dawały do siebie podchodzić. Broń śrutowa jest dla sępów zazwyczaj mało niebezpieczna, chyba jedynie loftki; twarde ich upierzenie przy strzale zawsze, jak na dubeltówkę dalekim, odgrywa rolę jakby tarczy ochronnej. Lecz wracam do naszej jazdy. W nienajlepszych humorach wygramoliliśmy się na naszą arbę i pomału, ze względu na ciężką drogę, pojechaliśmy dalej, kierując się na północ, ku płynącej popod pasmami wzgórz rzece Syrdarji. W miarę zbliżania się do rzeki, jeszcze na parę kilometrów od niej, zaczęły pojawiać się pola uprawne. W dali widoczne były wioski sarckie, kiszłaki, otoczone drzewami owocowemi i szeregami topoli.

Na tle nagich, szarawo-żółtych wzgórz coraz wyraźniej zarysowuje się ciemna linja, to pasmo nadbrzeżnych lasów, t. zw. tugajów, ciągnących się wdłuż Syrdarji. Tugaje te, lasami nazywane, w zupełnie bezleśnych okolicach niżowych Turkiestanu, mało przypominają nasze polskie lasy. Są to stosunkowo wąskie pasma zespołów drzew liściastych o pokroju naszej dzikiej jabłoni, dzikiej wiśni lub osiki, podszyte gąszczem krzaków, często kolczastych i poprzerastane w miejscach wilgotniejszych parometrową trzciną. Wszystko to tworzy nie do przebycia gąszcze, wśród których jedynie zwierzyna toruje sobie szlaki.

Pola nagle się kończą o jakie trzy kilometry od rzeki i wkraczamy w okolicę stepową, zrzadka porosłą nikłemi krzakami tamaryszków i kępami suchej trawy. Tu pasą się na nikłej i zeschłej murawie liczne owce pod strażą pastuchów sarckich.

W pobliżu tugajów spotykamy malutkie tutejsze zające, prawie o połowę mniejsze od naszych, zwinnie umykające wśród niskiej roślinności. Nie strzelamy do nich, by naszej głównej zwierzyny, dzików, nie płoszyć, zresztą podobno nie są one cenione, jako prowiant do kuchni.



Na kaczki. Pieski-Czarne Jezioro. Fot. I. hr. Pusłowska.

Już w Kokandzie było nam wiadomem, że nocować będziemy w budynku pompy, której właścicielem ma być uprzejmy człowiek. Tu widzimy, co znaczy przedsiębiorczość i wytrwałość jednostki, obdarzonej temi rzadkiemi wśród Europejczyków turkiestańskich zaletami. Koszty sprowadzenia pompy, motoru i innych sprzętów do tak odległego od ośrodków przemysłowych zakątka sowicie się opłacają. Obszar, nawodniany przez naszego gospodarza, wynosi około 5000 morgów, z tej wielkiej przestrzeni pól otrzymuje on pół plonu. Zaznaczyć przytem należy, że nawodnianie nie jest stałe, lecz odbywa się w kilku okresach parodniowych, od maja do sierpnia. Bez wody, dostarczonej przez pompę, nicby się na tej urodzajnej lecz spalonej słońcem roli nie rodziło, zrozumiałem więc jest, że właściciel pompy tak wysoki procent od zbiorów pobiera, i on i sarci, którym nawodnia pola, dobrze na tym interesie wychodzą. Na przyjemnej pogawędce przy tradycyjnym piławie schodzi nam wieczór. Rozmowa dotyczy przedewszystkiem zwierzyny (dzików), na którą mamy tu polować. Dziki są niezmiernie liczne w Turkiestanie, gdzie trzymają się tugajów i błot. Ludność ma-

hometańska uważa je za zwierzęta nieczyste i zupełnie na nie nie poluje, nawet ze wstrętem daje się użyć, jako naganka, a już absolutnie nie można jej skłonić do pomocy przy transporcie zdobyczy do miasta.

Obfitość dzików spowodowała wojskowość rosyjską do wykorzystania dla wojska, tego, jak narazie niewyczerpanego źródła pożywienia. W Turkiestanie oprócz baraniny innego mięsa w większej ilości dostać jest trudno, bydła tu mało z powodu braku paszy, a transport mięsa z Rosji europejskiej jest zbyt kosztowny. To też niektóre garnizony żywią się wyłącznie mięsem dzików, upolowanych przez żołnierzy.

Uformowano po garnizonach t. zw. oddziały myśliwskie (ochotnicze komendy), składające się z 30—40 ludzi każdy, z których połowa pełni służbę, t. j. poluje a druga połowa tymczasem przebywa w koszarach. Oddział taki znajduje się zwykle pod dowództwem oficera i podoficera, zwykle wachmistrza. W skład takich oddziałów wchodzą jaknajlepsi strzelcy garnizonu; amatorów doń jest aż nadto, chętnych od uwolnienia się choćby częściowo od monotonnej służby w koszarach. Pół oddziału wyrusza na polowanie w okolice nawiedzane przez dziki i pozostaje w polu przez 10 — 15 dni, zależnie od ilości upolowanych sztuk. Podczas polowań żołnierze kwaterują po wsiach sarckich, co nie zawsze jest mile widzianem przez ich mieszkańców. Broń używana na polowaniach, jest dawną bronią wojskową rosyjską, są to kawaleryjskie jednostrzałowe karabinki Berdana o kulach całkowicie ołowianych wielkiego kalibru.

Do późnej nocy przeciągnęła się nasza pogawędka i udaliśmy się na spoczynek na nieznanem nam dotychczas posłaniu. Zamiast łóżek w rogu pokoju znajdował się wielki zwał surowej bawełny, pochodzącej z pól, nawodnianych przez naszego gospodarza. Przykrywszy bawełnę kocami, zasnęliśmy szybko, zwłaszcza, że posłanie niczem nie ustępowało najlepszemu łóżku, a pod względem czystości napewno przewyższało posłania w hotelikach małych miast turkiestańskich, stojących jednak o wiele wyżej od naszych zajazdów prowincjonalnych zakątków.

Rankiem z trudem zebrana nieliczna naganka obsławia spory szmat tugaju. Podszycie krzaczaste i trzcinowe niezmiernie utrudnia posuwanie się naprzód, to też naganka chodzi jak się jej podoba i uda, o zachowaniu linji niema naturalnie mowy.

Niechęć i strach przed zwierzyną w wielu wypadkach sprawia, że naganiacze myślą tylko o tem, by się ze zwierzyną nie spotkać i jak mogą zmykają do swych wsi.

Wybrawszy dobre stanowisko na wydmie nadbrzeżnej wśród polany, porosłej niską trawą, oczekuję nadejścia dzików. Ponieważ miot jest długi, oczekiwania moje trwają dość długo. Cisza absolutna, panująca dokoła, przyjemne sprawia wrażenie. Zdala odzywają się głosy naganki lecz dzików jakoś nie widać. Naganka jest już niedaleko, a w tugaju tuż u skraju polany słychać trzaski łamanych gałązek — staję więc w pogotowiu do strzału. Prócz chrzęstu słychać jakieś chrapanie, wreszcie ciemne kształty migają mi przez krzaki, po chwili na polanę powolnym truchtem wybiega stadko... czarnych owiec!!!

Takie było moje pierwsze spotkanie z „dzikami" turkiestańskiemi.

J. FUDAKOWSKI.



W Sendkowie—z toków głuszcowych. (Puszcza Rudnicka).
Fot. S. Oldak.

RYSIE W KARPATACH.

Artykuł w Nrze 25 „Łowca Polskiego" r. b. pod tytułem: „Rysie w Ameryce północnej" powoduje, że podaję poniżej parę uwag o rysiu karpackim, a w nich przedewszystkiem te jego właściwości, które go odróżniają od opisanego przez p. Annę Lynch typu pobratymca amerykańskiego.

Wspomniana autorka nie podaje nazwy przedmiotowego gatunku rysia; sądząc jednak z położenia geograficznego stanu Maine — może być tam mowa raczej o odmianie rysia L y n R u f u s, jak L. B o r e a l i s. Autorka nie podaje ani opisu szaty, ani wymiarów, jest to więc przypuszczenie tylko.

Poza kilkoma cechami, zasadniczo wspólnemi kociemu rodowi, i to nie tylko z puszczy, inne wybitnie różnią tego amerykanina od naszego karpackiego „tygrysa". Podnoszę tu najpierw wspólne wszystkim kotom właściwości.

Czy ów ryś z krainy Maine, czy nasz z polskiej kniei karpackiej lub równinowej — czy najzwyklejszy kot domowy — wszystkie zabijają przedewszystkiem skutkiem wrodzonego zmysłu drapieżności, czy jak p. Lynch chce — przyjemności mordu. Różnica leży tylko w wielkości ofiar, zastosowanej do siły kota, a więc od jelenia — do myszy polnej, czy domowej. Drugą cechą wspólną wszystkim kotom jest skłonność do ucieczki na drzewo przed atakującym, a przemożnym wrogiem, o ile tenże jest więcej rączym. W ten sposób wszystkie koty wyzyskują ku swemu ratunkowi zdolność wspinania się na pień drzewny, zawdzięczaną chowalnym, a więc nie stępionym pazurom.

Przechodzę do odmiennych cech naszych karpackich (z równinowemi nie miałem styczności) rysi. Według pani Lynch ryś... „prawie nigdy nie wraca do upolowananej zwierzyny..." — ...„i bardzo rzadko daje się złowić w żalaza..."

W Karpatach ryś nie tylko wraca, o ile jest głodny, do upolowanej przez siebie zwierzyny, ale i do obcej przychodzi, a czyni to, czy sam, czy w towarzystwie— z wyjątkowem wprost utrzymywaniem tych samych przesmyków, a w nich nawet swych tropów. Na tej właściwości naszego rysia polega przecież fakt notoryczny, że wybitnie największy procent zdobytych sztuk pada w żelaza lub od trucizny, — boć spotkanie z rysiem w Karpatach na strzał kulowy uważam za wygranie wielkiego losu myśliwskiego i o wiele wyżej cenię jak strzał do grubego nawet niedźwiedzia. Jako dowody powyższego twierdzenia przytaczam takie fakty z mego sąsiedztwa. Leśniczy lasów państwowych p. Dworzak za czasów swej służby w Mikuliczynie znanym był z tego, iż podjął ponad dwadzieścia sztuk rysi z żelaz, zastawionych na pewnych przesmykach; ja zaś mimo, że specjalnie pasjonowałem się do strzału na rysia, a przebywałem długie lata w najgłębszych kniejach Karpat — mam ich wszystkiego dwa, gdy niedźwiedzi mam kilkanaście na sumieniu. Natomiast np. mój sąsiad ówczesny p. inż. L., gdy ja daremnie rysie tropiłem w dzikich kniejach Jasienia, ubił raz na jednem stanowisku w sąsiednim Niebyłowie dwa rysie prawie w dublecie w ten sposób, iż podczas pędzenia miotu wyskoczył z gąszczy na leżący przed stanowiskiem wywrot piękny ryś — i po strzale zsunął się ugodzony za kłodę... za chwilę spostrzegł p. L. na tejże kłodzie znowu kroczącego rysia — i zwalił go z niej drugim strzałem, przekonany, że rys po pierwszym strzale przyszedł do siebie — i że go dobija. Po mioście znalazł za kłodą dwie sztuki, które, jak tropy w śniegu wskazywały, szły w pędzeniu trop w trop po sobie.

Wracam do twierdzeń p. Lynch, wyżej przytoczonych. Co prawda, mocno je ona podważyła późniejszą opowieścią o rysiu, który się dobierał do zawieszonego na żerdzi jelenia — i złapał się w nastawione pod nim żelaza!

Kończąc te swoje uwagi, podnoszę jeszcze, że ryś karpacki, w przeciwieństwie do wilka, nie niepokoi w zasadzie osiedli ludzkich; jest on ztym duchem tylko głębokiej kniei. O analogicznym, lub równej śmiałości wypadku, który mię spotkał w Jasieniu, iż wilk wpadł na podwórze zarządu leśnego wśród wsi —i tam (naturalnie w nocy) po ciężkiej walce, zdusił mi najcenniejszego dzikarza-tropowca, który nie mógł się swobodnie bronić, będąc na łańcuchu,— nie słyszałem.

Taki „casus" przekracza już o wiele misję, daną od przyrody wilkowi i rysiowi w interesie podtrzymania dobroci danego gatunku — przez usuwanie sztuk słabszych i do rozpłodu mniej zdatnych.

WŁADYSŁAW BURZYŃSKI.

BEZDYMNY NABÓJ ŚRUTOWY W ŚWIETLE NAJNOWSZYCH PRÓB I DOŚWIADCZEŃ

(Ciąg dalszy).

Warunki, wpływające na dobroć strzału.

Jak już z poprzednich rozważań wynika, musi istnieć między danym gatunkiem prochu i spłonką harmonja, objawiająca się tem, że płomień spłonki jest odpowiednio silny, posiada „temperaturę eksplozji" danego gatunku prochu i wywołuje eksplozję, kończącą się w chwili, gdy pocisk osiągnie wylot lufy.

Przy użyciu za słabej spłonki — może nastąpić albo wprost „niewypał", albo „niedopał", albo też „zaciąg".

Gdy spłonka jest za silna — następuje za szybka eksplozja, cała dawka prochu zamieni się w gaz w przestrzeni daleko mniejszej (np. w czasie, gdy pocisk ledwie 1/4 długści lufy przebył), co musi wedle znanych praw fizyki — wywołać większe ciśnienie na ściany lufy.

Można więc śmiało twierdzić, że każdy gatunek prochu bezdymnego pwinien mieć spłonkę, dostrojoną do stopnia jego zapalności.

Stopień siły zapalności spłonki jest także do pewnego stopnia zależny od siły, z jaką iglica w nią uderza, mianowicie silne uderzenie iglicy powoduje, że cała masa materji wybuchowej, zawartej w spłonce momentalnie eksploduje, skutkiem czego płomień jest większy i ogarnia odrazu większą ilość prochu, podczas gdy słabe uderzenie iglicy powoduje eksplozję tylko cząstki tej materji, od której dopiero reszta jej zapala się, cały więc proces odbywa się w tym ostatnim wypadku raczej stopniowo.

Powyższe twierdzenie brzmi w pierwszej chwili paradoksalnie, ale przemawiają za niem przedewszystkiem fakty, oparte na mniejwięcej 30-letnich obserwacjach. Zresztą wszelkie wątpliwości na ten temat usuwają najnowsze przyrządy do badania siły spłonek. Wykazują one całkiem wyraźnie różnicę płomienia przy silnem lub też słabem uderzeniu iglicy.

Tej właściwości spłonek przypisać należy często zarzucaną niektórym strzelbom wadę, że „miękko biją", „żywią zwierzynę" a dają nawet „niedopały" — choć obraz śrutów na tarczy jest zupełnie zadowalający i wiercenie lufy bez zarzutu.

Przyczyna może leżeć w słabych sprężynach zamków, co trafia się szczególnie w starszych strzelbach; wymiana sprężyn na silniejsze wystarcza często do usunięcia tych wad.

Myślę, że nie od rzeczy będzie zaznajomienie Sz. Czytelników z zasadami fabrykacji spłonek, która należy bodaj do trudniejszych rzeczy, niż fabrykacja samego prochu bezdymnego.

Jest to rzeczą naturalną, bo przecież chodzi o masowy produkt, idący w miljony szuk, w którym z dokładnością do miligrama musi się materjał wybuchowy wprowadzić do kapsli metalowej, nadać mu zawsze jednakową gęstość i uszczelnić dokładnie przed wilgocią. Jak precyzyjnie muszą pracować użyte do tego

maszyny! Nie dziw więc, że przy tej, tak drobiazgowej pracy — nawet drobne odchylenia maszyny mogą wywołać różnice, mające już duży wpływ na działanie spłonki.

Zagraniczne fabryki amunicji, szczególnie w Ameryce i w Niemczech, poddają każdą serję spłonek próbie; gdy ta wypadnie niekorzystnie, t. j. spłonki odbiegają od przyjętej normy, będąc albo za silne, albo za słabe — odrzuca się całą serję; jest to proceder kosztowny, ale stanowi prawie pewną gwarancję dobrego funkcjonowania spłonek.

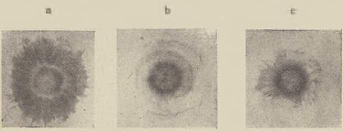
Oprócz fabrykacyjnych metod badania istnieją jeszcze trzy metody praktycznego badania siły spłonek, a to przez:

a) mierzenie energji gazów przy eksplozji spłonki,
b) ocenianie wielkości płomienia eksplodującej spłonki, a w końcu
c) fotografowanie płomienia spłonki.

M e t o d a a) polega na tem, że w odpowiednim aparacie część gazów spalonej spłonki ciśnie na słupek rtęci i podnosi go do góry. Wysokość podniesienia jest miarą siły spłonki.

M e t o d a b) polega na tem, że płomień eksplodującej spłonki przy pewnej stałej sile uderzenia iglicy, skierowany jest z pewnej odległości na białą powierzchnię papieru, przez co powstaje jej zakopcenie. Wielkość zakopconej powierzchni i stopień zakopcenia jest obrazem sposobu spalania się spłonki, a pośrednio miarą jej siły.

Fot. Ia, Ib. i Ic. przedstawiają rezultaty prób, metodą tą osiągnięte.



Fot. 1.

M e t o d a c) polega na odfotografowaniu płomienia eksplodującej spłonki; siłę spłonki ocenia się wielkością płomienia.

Fot. 2 podaje zdjęcia, robione tą metodą na różnych spłonkach krajowych i zagranicznych.

Co się tyczy formy spłonek, używanych obecnie w bezdymnych nabojach śrutowych, to cały świat używa prawie wyłącznie formy „Gevelot".

Inne formy wyszły na kontynencie europejskim prawie zupełnie z mody. Spłonki „Gevelot" wyrabiają rozmaite fabryki; co do formy zewnęrznej i wymiarów są one sobie równe, jednak pod względem siły zapalania wykazują one duże różnice (porównaj fot. 2), co jest naturalne, bo każda fabryka dostraja siłę spłonek do prochu, którego używa.

Uważam na tem miejscu za wskazane ostrzec Sz. Czytelników przed używaniem t. zw. „podsypki" z czarnego prochu, jest bowiem rzeczą znaną, że płomień czarnego prochu jest doskonałym „inicjałem" i doprowadza każdy bezdymny proch do eksplozji.

Skorzystali z tego niektórzy strzelcy, myśliwi i rusznikarze, elaborujący własnoręcznie śrutowe naboje, i dawali na spłonkę drobną ilość czarnego prochu, przez co osiągnęli silną i zawsze pewną eksplozję; ale żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, jak ciężką próbę wytrzymałości przy każdym takim strzale przechodziła dana strzelba.

Zależnie bowiem od wielkości owej „podsypki", eksplodował bezdymny proch bardzo gwałtownie, a ciśnienie gazów na ściany lufy osiągało, a nawet przekraczało nieraz granicę wytrzymałości.

Pozwolę sobie przytoczyć kilka cyfrowych danych, osiągniętych przy próbach z „podsypką", przy których byłem obecny.

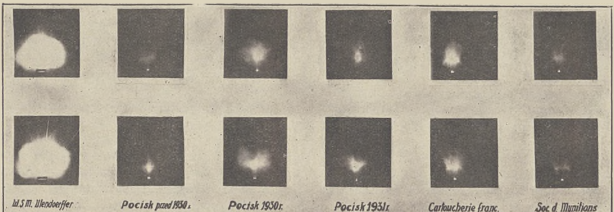
Użyto prochu „Sokół", ładunków kaliber 12, do mierzenia zaś napięcia gazów — strzelby manometrycznej systemu „Sauer".

Normalny nabój (2,2 gr. prochu, 32 gr. śrutu, przybitka prochowa 15 mm) wykazywał średnie ciśnienie $P = 471$ atm., maksymalne: $P_{max} = 516$ atm.

Taki sam nabój z podsypką 0.25 gr. czarnego prochu — średnie ciśnienie: $P = 734$ atm., maksymalne: $P_{max} = 843$ atm.

Taki sam nabój z podsypką 0.50 gr. czarnego prochu — średnie ciśnienie: $P = 891$ atm., maksymalne: $P_{max} = 959$ atm. (!).

Porównenie tych cyfr przekona chyba Sz. Czytelników, jak niebezpiecznym jest ten eksperyment, a wziąć trzeba pod uwagę, że śrutowe strzelby na bezdymny proch poddaje się próbie do 860 atm.



Fot. 2.

Wpływ przybitki prochowej.

Następnym, bardzo ważnym czynnikiem, tak ze względu na obraz na tarczy, jak i ze względu na ciśnienie gazów, jest przybitka prochowa.

Jej zasadniczem i pierwszem zadaniem jest odgraniczenie komory prochowej od komory śrutowej — i to tak szczelnie, by gazy — podczas ruchu śrutu ku wylotowi lufy — nie mogły się dostać między śruty.

W przeciwnym wypadku obserwuje się ogromny ich rozrzut. Próby przeprowadzone wykazały, że strzelba, dająca normalnie w przepisanej 75 cm. tarczy 65 — 70% śrutów na 35 m. odległości — daje w tych samych warunkach, gdzie przybitka jest niedość szczelna, ledwie 22 — 40% śrutów.

Wynikałby z tego, że im wyższa jest przybitka, tem lepsza; niezawodnie wyższa, dobrze kalibrowana — zamyka bardziej hermetycznie, niż niższa, ale w praktyce ma wysokość przybitki swoją granicę w długości łuski (normalna: 65 mm, lub dłuższa: 70 mm), która przecież prócz prochu i przybitki prochowej musi pomieścić dawkę śrutu i kartonik, i pozostawić wolną część do zakręcenia.

Dlatego maksymalna wysokść przybitki wynosi 14 — 15 mm, najmniejsza 10 mm; ta ostatnia zabezpiecza jeszcze przed wtargnięciem gazów do komory śrutowej.

Wielu myśliwych, a nawet rusznikarzy — nie zwraca należytej uwagi na okoliczność, że wysokość przybitki prochowej jest zależna do pewnego stopnia od grubości śrutu, którym ma być nabój napełniony. Mianowicie gruby śrut zajmuje większą przestrzeń, niż drobny o tej samej wadze — różnica między wysokością słupka śrutu nprz. o średnicy 4 mm a słupkiem śrutu o średnicy $2^1/_4$ mm — wynosi w kalibrze 16-ym około 2 mm. Chcąc więc na zakręcenie tulejki — o czem później jeszcze będzie mowa — i na kartonik, zamykający śrut — uzyskać koniecznie 4 — 6 mm wysokości tulejki, trzeba przy grubym śrucie używać niższych (np. 10 mm), przy drobnym zaś wyższych przybitek prochowych.

O tem, że przybitka prochowa musi być dostatecznie twarda, a jednak elastyczna, aby cały proces wprawnienia śrutów w ruch odbywał się możliwie łagodnie bez zbytniego deformowania pojedyńczych ziaren — dalej o tem, że przybitka musi być natłuszczona, aby zapobiec zaołowieniu lufy, wspominam pobieżnie, jako o rzeczy, dostatecznie ogółowi myśliwych znanej.

Przybitka prochowa może mieć przy użyciu prochu bezdymnego ogromny wpływ na ciśnienie gazów w komorze nabojowej. Mianowicie, jeśli proces spalenia się prochu ma się odbyć normalnie — winna dawka prochu płatkowego wypełnić t. zw. „komorę prochową" luźno. Ta „komora prochowa" jest w każdej łusce, zbudowanej do bezdymnego prochu, oznaczona kartonową lub metalową wkładką. Proch, spoczywając w niej w luźnej (nie sprasowanej!) formie, pozwala, że płomień spłonki może dość głęboko między warstwy płatków zasięgnąć i spowodować normalny przebieg eksplozji.

Gdybyśmy przy elaborowaniu nabojów użyli pewnego wysiłku i wcisnęli przybitkę prochową choć częściowo do „komory prochowej", czyli „wkładki", osiągnęlibyśmy najpierw zmniejszenie przestrzeni, przeznaczonej na proch, a także pewne sprasowanie dawki prochu.

Wedle praw fizyki musi to zmniejszenie przestrzeni wywołać zwiększenie się prężności gazów i to zaraz w pierwszem stadjum eksplozji, gdy śrut jeszcze z miejsca nie ruszył i przestrzeń, przeznaczona na rozwój gazu jeszcze się nie powiększyła.

Również sam proces spalenia się prochu wskutek sprasowania dawki prochu, czyli zmniejszenia wolnej przestrzeni między płatkami — jest zupełnie różny od spalenia się luźno na sobie leżących płatków; jest on nieregularny i bardziej gwałtowny; równomierność strzałów cierpi na tem bardzo.

Robiono na ten temat w ostatnich czasach bardzo ciekawe i pouczające próby, badając ciśnienie gazów w nabojach z bezdymnym prochem, umyślnie wadliwie elaborowanych, t. j. tak, że przybitka prochowa była częściowo wciśnięta we wkładkę.

Próby te dały całkiem nieoczekiwane, a bardzo poważne rezultaty. Jako prochu użyto „Sokoła" i „Łosia" — a dla kontroli, jako „tertium comparationis" także niemiecki „Rottweil".

Rezultaty uwidocznia niżej podana tabela.

Proch	Sposób elaborowania nabojów	Ładunek	Szybkość na 15-ym metrze V_{15}	Ciśnienie gazów P. średnie	Ciśnienie gazów P. maksymalne
„Sokół" Rottweil „Łoś"	normalny, (przybitka prochowa oparta na wkładce)	Normalna dawka dla kalibru 12-go, t. j. 2,2 prochu i 32 gr. śrutu	przeciętnie 308 m./sek.	430 atm.	526 atm.
„Sokół" Rottweil „Łoś"	normalny, (przybitka prochowa wciśnięta nieco w komorę prochową)		przeciętnie 312 m./sek.	653 atm.	751 atm.

Cyfry, zawarte w tej tabeli, wykazują, że gdy w normalnie elaborowanych nabojach przeciętne ciśnienia wahają się między 400 — 500 atm. a sporadycznie obserwowane maksymalne ciśnienia mniejwięcej do 550 atm. dochodzą, a więc obracają się wciąż wewnątrz zupełnie dopuszczalnych granic, to przy anormalnie elaborowanych nabojach, jedynie przez za duże wciśnięcie prochowej przybitki następuje skok w napięciu gazów o 60 — 70%.

Silnie zbudowana i na bezdymny proch ostrzelana broń znosi to napięcie gazów bez szkody, ale nie ulega żadnej wątpliwości, że obraz na tarczy będzie wykazywał duże różnice od normalnego — i to natu-

ralnie w ujemnym kierunku, nie mówiąc już o bardzo silnym odrzucie.

Fabryki, wyrabiające łuski, zapobiegają temu, tak szkodliwemu wciśnięciu prochowej przybitki w ten sposób, że dają do komory prochowej wkładkę o dość grubej ściance (1 mm. karton lub aluminjowy „kominek" tej samej grubości).

Są jednak łuski np. „Luxus" (zresztą znakomite pod każdym względem) lub czerwone „Utendorffer", które mają wkładkę z cieniutkiej blachy stalowej, ledwie 0.3 mm grubej; przy ich użyciu jest szczególnie łatwo przy ręcznej elaboracji, już przez nieuwagę, jużto przez nieświadomość wcisnąć przybitkę za głęboko.

Wskazana jest więc i pod tym względem ostrożność i uwaga.

To nadmierne wtłoczenie przybitki prochowej może mieć jednak jeszcze dalsze i daleko gorsze następstwa. Mianowicie laik, elaborując własnoręcznie naboje, wcisnąwszy przypadkiem za głęboko przybitkę — widzi, że do komory śrutowej zmieściłoby się jeszcze kilkanaście ziaren śrutu. Hołdując zasadzie, że im więcej śrutu, tem strzał będzie bardziej gęsty — dosypuje tyle śrutu aby tylko mógł włożyć zatyczkę (kartonik) i zakręcić tulejkę i nie przeczuwa, jak blisko katastrofy rozerwania strzelby się znalazł — bo rezultaty strzału tak przeładowanym nabojem są już wprost groźne.

Ponieważ tego rodzaju błąd w elaboraji bardzo łatwo trafić się może, więc przeprowadzono szereg prób z takiemi nabojami, powiększając dawkę śrutu z 32 na 43 gramy.

Do prób użyto znowu prochów: „Sokół", „Rottweil" i „Łoś" i otrzymano następujące rezultaty:

Proch	Naboje kal. 12	Ładunek		Szybkość w 15 metrze V_{15}	Ciśnienie gazów P.	
		prochu	śrutu		średnie	maksymalne
„Sokół"	anormalna elaboracja przybitek prochowych wciśniętych w komorę prochową	2,2 gr.	43 gr.	312 m/sek.	915 atm.	974 atm.
Rottweil				310 „	976 „	1081 „
„Łoś"				315 „	1023 „	1117 „

Widzimy więc, że granica, do której broń śrutowa przy użyciu bezdymnego prochu jest ostrzeliwana, t. j. 840 atm. — z reguły przy tak elaborowanych nabojach jest przekroczona, a np. przy użyciu prochu „Łoś" musi ulec rozsadzeniu, o ile nie jest wyjątkowo silnie i z najlepszej stali zbudowana.

Ilu myśliwych zna te rozmaite misterja bezdymnego prochu śrutowego?

Ile wypadków spowodowały tego rodzaju błędy w elaboracji amunicji, choć pozornie były naboje bez zarzutu, bo „przecież proch był najdokładniej odważony"? „Śrutu przecież nikt nie waży!" woła stary „praktyk" (cichy i niepoprawny adorator dawnej „miareczki"). A przecież tych kilka gramów może tak fatalnie zaważyć na szali całości strzelby i zdrowia strzelającego.

(Dok. n.)

Inż. WALERY MARYAŃSKI,
gen. bryg. w st. sp.

WIADOMOŚCI BIEŻĄCE

SZKOLNY ZWIERZYNIEC W GRODNIE

Skromny początkowo zwierzyniec grodzieński, założony w r. 1918 przy szkolnym ogrodzie botanicznym, tuż obok gimnazjum męskiego, przeniesiono na dawny plac gimnastyczny, zwany „Trekiem", miejsce obszerne i dogodne.

„Trek" obecnie po rozplanowaniu i wyżwirowaniu dróg, został zasadzony drzewami i krzewami oraz upiększonych kwiatami, tak, że tworzy miłą i sympatyczną całość, gdzie mieszkańcy znajdują naprawdę estetyczny zakątek wypoczynkowy.

Największą inwestycją było zbudowanie domku dla stałego dozorcy oraz zimowych pomieszczeń dla okazów. Wystawiono następnie pięć dużych woljer i trzy mniejsze, cztery klatki dla drobnych ssaków oraz dwa ogromne stoiska dla jeleni. Wszystko to w czasie najcięższym, kiedy Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ. skreśliło subwencję i zniosło etat woźnego, a magistrat miasta zmniejszył dotację.

Kierownictwo zwierzyńca stanęło wobec alternatywy: albo zlikwidować pożyteczną instytucję, albo zakasać rękawy do pracy i wydobyć ze społeczeństwa potrzebną pomoc do utrzymania tej pięknej placówki. Wybrano całkiem słusznie drogę drugą. Znaleźli się ludzie niespożytej energji i żelaznej woli, jak p. pułkownik Adamowicz, prezes Tow. Miłośników Przyrody oraz jego sekretarz p. Józef Jodkowski i p. inż. Jan Kochanowski, założyciel zwierzyńca w 1918 r., którzy prowadzą zwierzyniec po drodze rozwoju.

Uznanie zasłużone należy się też „Sekcji imprezowej", składającej się przeważnie z pań, które tyle wykazały zamiłowania, zapału i temperamentu, że potrafiły w ciągu kilku miesięcy zebrać około 3.000 złotych, co na stosunki grodzieńskie jest sumą wyjątkowo wielką.

Zapał celem utrzymania instytucji, pozostawionej od roku samej sobie, ogarnia coraz dalsze warstwy społeczne. Ostatnio zwrócono się do wszystkich szkół, by zachęcić młodzież do wykupienia rocznych biletów wejścia do zwierzyńca w cenie 1 zł. Sądzić należy, że nauczycielstwo miejscowe, doceniając wartość nauki przyrody na żywych okazach, poprze gorąco starania kierownictwa zwierzyńca. Miejmy na-

dzieję, że i Min. Wyzn. Rel. i Ośw. Publ., polecające w programie przyrody zakładanie ogrodów botanicznych i zoologicznych, znajdzie pewną sumę na utrzymanie tego, co od lat kilkunastu służy z pożytkiem nauce.

A nie jest to już mały zwierzyniec. Ciekawy jest przedewszystkiem dlatego, że jest jedynym w Polsce, jaki posiada bobra i to czarnego, który w ciągu trzech lat tak dalece oswoił się, że bierze pokarm z rąk dozorcy. Pozatem znajduje się tu 6 sarn, 3 jelenie, 3 wilki, 3 lisy, 2 dziki, 1 borsuk, 3 tchórze, 6 morskich świnek, 4 dzikie króliki, 6 wiewiórek, 3 jeże, 2 zające, 27 białych szczurów, 4 żółwie, 3 białe bociany i jeden czarny, spacerujące swobodnie po całym ogrodzie, 14 różnych bażantów, 2 gołębie, 4 pawiki i 4 synogarlice. Z ptaków drapieżnych widzimy: 5 orlików, 3 myszołowy, 2 gołębiarze, 2 pustułki, 2 pustułeczki, 3 kobuzy, 1 puhacza, 4 puszczyki, 2 sowy uszate, 2 sowy pójdźki, sowa błotna, 2 sowy płomykówki, nadto 4 wrony, 3 sroki, 3 kawki, 2 gawrony i bardzo zabawnego kruka, który chodził stale z publicznością po ogrodzie, pełniąc niby czynność przewodnika. Kiedy jednak z wiosną wykrył gniazda dzikich kaczek i powypijał z nich jaja, przebywa odtąd w ogrodzeniu razem z bobrem. Z ptactwa są tu jeszcze 2 krzyżodzióby, 2 czyże, 5 gilów, 1 kos, 5 czeczotek, 6 dzwońców i 10 dzikich kaczek.

Po trawnikach ogrodu spacerują stale dwa okazałe pawie. Na drzewach porozwieszano sztuczne gniazda dla szpaków, sikorek i t. p. W zimie zaś ustawia się karmiki, w których młodzież karmi zgłodniałe ptactwo; dotyczy to głównie uczniów gimnazjalnych, zorganizowanych w Kółku Miłośników Przyrody.

Z podziwem patrzeć należy na dokonane dzieło, na uporczywe łamanie wszelkich przeszkód, na nadzwyczajny wysiłek, który potrafił instytucję pozbawioną wszelkich środków, nietylko utrzymać, ale rozwinąć ją nawet w dobie apatji, kryzysu i powszechnego niemal, a tak zgubnego załamywania rąk.

JÓZEF WŁ. KOBYLAŃSKI.

W sprawie wystawy i katalogu polskiej książki kinologicznej

Z przyjemnością czytałem w „Łowcu Polskim" Nr. 28 artykuł prof. Domaniewskiego o zorganizowanej przezemnie we Lwowie Wystawie polskiej książki kinologicznej i o Katalogu, dla tej Wystawy napisanym. Z tem większą przyjemnością przychodzi mi wyjaśnić, że zauważenie przez Sz. Autora pewnych braków w eksponatach polega na nieporozumieniu. I tak np. nieumieszczenie na Wystawie obu wydań podręcznika Sztolcmana o łowiectwie, nie było wynikiem przypadku, albo przeoczenia. Na tego rodzaju wystawach, nie będących wszakże, jak to na wstępie do katalogu zaznaczyłem, pokazem bibljograficznym, niema potrzeby umieszczania wszystkich wydań pewnego dzieła, o ile między temi wydaniami nie zachodzą różnice zasadnicze. Czyż np. byłoby celowem w grupie literatury pięknej umieszczać wszystkie wydania nowel i powieści Dygasińskiego, w rachubę tu wchodzących? Z drugiej strony umieszczono na Wystawie i w Katalogu powieść Wiktora: „Srogi pies i sentymentalny zając", dwukrotnie w temsamem wydaniu. Ale uwaga w Katalogu wyjaśnia, czem różnią się te dwa egzemplarze, pozornie identyczne. Słusznie upomina się prof. Domaniewski o wydane przez Rostafińskiego księgi „O myślistwie, koniach i psach łowczych". Nie zauważył on jednak, że dzieło to figuruje na Wystawie i w Katalogu jako pozycja 4-ta. W przypisie do tej pozycji wyjaśniłem, że oryginał „Myślistwa z ogary" objętego pracą Rostafińskiego, znajduje się w Bibljotece Jagiellońskiej. Nie Rostafińskiego więc brakuje, ale unikatu pierwodruku Ostroroga, z powodów zresztą zrozumiałych. Pomijając kwestję wielkiej odpowiedzialności, zauważyłem również na wstępie do Katalogu, że Wystawa z małemi wyjątkami składa się ze zbiorów lwowskich, ze względów poprostu praktycznych. Wszak wystawa ta trwać miała i trwała tylko trzy dni. Ale ta pierwsza w swoim rodzaju próba spełni, mimo krótkiego trwania, swe zadanie, jeżeli zachęci do podobnych pokazów okazyjnych na przyszłość. Mają one bowiem niezaprzeczone znaczenie dydaktyczne.

WITOLD ZIEMBICKI.

KOMITET REDAKCYJNY: J. Bleszyński, K. Czampe, J. Dylewski, W. Garczyński, B. Gędziorowski, J. Gieysztor, Wł. Gieysztor, I. Grymiński, Wł. Janta-Połczyński, St. Kamocki, W. Kiltynowicz, H. Knolbe, Wł. Korsak, E. hr. Krasiński, St. Krzywoszewski, E. Niezabitowski, M. hr. Potocki, A. hr. Rzewuski, Wł. Słonczyński, W. Szperling, K. Świderski, B. Świętorzecki, Fr. Unrug, Wł. Zabiełło i St. Zaborowski.

Redaktor: Walenty Włodzimierz Garczyński. **Wydawca:** Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich.

PRENUMERATA: Zgóry za kwartał zł. 9; za pół roku zł. 17; za rok zł. 32. — Miesięcznie 3.50. — Numer pojedyńczy — 1 zł. Numer ozdobny 1 zł. 50 gr. Za numery, które wyszły przed zapłaceniem, liczymy po 1 zł.
Za zmianę adresu 50 gr. Za numer reklamowany w przeciągu miesiąca — 25 gr.

CENY OGŁOSZEŃ: Milimetr za tekstem 60 gr. Cała strona — 300 zł.; 1/2 — 150 zł.; 1/4 — 75 zł.; 1/8 — 40 zł. Przed tekstem — 50% drożej. Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%.

Drobne ogłoszenia — płatne zgóry — po 10 gr. za wyraz; handlowe po 20 gr.; grube litery — po 20 gr.; najmniejsze ogł. — 2 zł. Znaki pisarskie liczą się za wyrazy.

W numerach ozdobnych: Za tekstem 1 milim. 90 gr. Cała strona 450 zł.; 1/2 — 225 zł.; 1/4 — 115 zł.; 1/8 — 60 zł. Przed tekstem 50% drożej. — Za zastrzeżone miejsca dopłaca się 25%. — Agentom nie wolno pobierać zaliczek.

KONTO P. K. O. „Polski Związek Stowarzyszeń Łowieckich" 8082. ADRES: NOWY ŚWIAT 35. TELEFON 607-98.

Rękopisów redakcja nie zwraca i zastrzega sobie prawo czynienia zmian i skrótów w nadsyłanych artykułach, oraz decyzji co do terminu ich umieszczenia.

Redaktor przyjmuje rozmowy telefoniczne oraz interesantów w swem mieszkaniu prywatnem (Kredytowa 18 m. 3, tel. 604-25), codziennie, prócz sobót, między 4-ą i 5-ą pop.; w redakcji — w poniedziałki od 6-ej do 7-ej pop. — Biuro czynne od 9 do 3-ej i od 5-ej do 7-ej wiecz., w sobotę do godz. 3-ej.

OGŁOSZENIA DROBNE

Prośba o fotografje.

Redakcja „Łowca Polskiego" prosi PP. Myśliwych, posiadających ciekawe zdjęcia myśliwskie, o nadesłanie tychże Redakcji do użytku bieżącego.

Prosimy o podawanie nazwisk osób, które dokonały zdjęć, w celu zamieszczenia ich pod fotografjami.

REDAKCJA „ŁOWCA POLSKIEGO".

Zakł. Druk. F. Wyszyński i S-ka, Warszawa, Warecka 15.